— Oni te cekaemy mają już wstrzelane---stwierdza Płużański.

Najgorszy odcinek!

Płużański leży przy zabitym, który musiał tu paść jeszcze w nocy nim oni weszli w akcję. Przedtem też przypadł przy zabitym. Jedyna myśl: trzymać drużynę w garści, żeby się nie rozbiegła po tych krzakach i jarach, nie pogubiła w lesie. Jak tamci w nocy. Nie puścić!

Poderwanie nowe.

Byle dosięgnąć wykrotu.

— Widzisz tam co? --- pyta Nowaka.

Nowak jest sympatycznym młodym Pomorzaninem, synem gajowego z Tucholi. Harcerz. Wyczołguje się. Niema go. Wraca.

— Schodzą, uciekają w dół!

Nikt się nie rusza. Nowa zasadzka? Mają dosyć. Ale po linii, za drzewami, tamten pluton poczyna biec.

Podrywają się jeszcze. Nic.

Biegną, biegną jednym biegiem, długim, nieregulaminowym. Szkarpa niemieckich pozycyj milczy. Czy przemówi w ostatniej chwili? Nie. Wbiegają. Nieład porzuconego obozowiska. Dwa trupy przykryte płachtą. Nikogo.

— Mogą być miny. Uwaga!

Kompania, w nagłem odprężeniu nerwów, wybiega na stok. Wyrasta rzędem ludzi nad ostatni niezajęty dotąd szczyt. Ma pod samemi nogami Ankenes, ma nisko przed sobą Narvik...

— Pak-pak-pak-pak --- rozstrzeliwa się ogień najzajadlejszy.

Pospadali w dół!

To z portu narvickiego niemieckie cekaemy zagrały na widok Podhalan na swe własne niedawno pozycje.

Powczołgiwali się w jarki. Kule pękają po wierzchołkach drzew. Co im z tego? Swoje zdobyli. Narvik niech biorą inni.

— O patrzcie się, odpływają!

— Gdzie?

— O, tam, panie podchorąży, tam! Na te kutry siedli i wyrywają do Narviku.

Płużański podsuwa się. Istotnie. Na morze wypływa wielka barka norweska, pełna żołnierzy »feldgrau«. Z dołu widać dokładnie, jak na stole. Odpływa i świeci plamą jasną na ciemnozielonej toni.

Płużańskiego aż poderwało. Rozgląda się. Barka jest coraz dalej. Nie widzi skądby. Jest!

U owej pozycji wypiętrza się komin skalny, jak w Strążyskiej, w Tatrach. Komin skalny, skałka nadstrzępiona, porwana w głazy. Jedno spojrzenie uważne, szybkie, góralskie. Płużański poczyna się wdrapywać. Wczepia wielkiemi łapami w każdy występ i podciąga ciało w górę. Buciory obślizgują się niezdarnie. Są pełne błota.

— Co pan robi, panie podchorąży?

Z pasją malarską, chłopską, bez słowa niepotrzebnego, Płużański, odpadłszy od ściany kamiennej, ściąga na trawie buty. Kule pękają nad skałką. Odwija z czerwonych stóp onuce. Teraz poczyna nanowo piąć się rękami wielkiemi, uchwytami tych nóg czerwonych po ciemnej skałce.

Jest!

— Erkaem!

Nie rozumieją w pierwszej chwili, osłupiali tem wszystkiem. Aż podskakują z erkaemem.

— Prędzej, odpłyną --- jęczy na górze Płużański. --- Na pasie wciągajcie, na pasie!

Trzeba pasa, pasa. Jest pas! Koniec zarzuca się Płużańskiemu --- uchwycił, koniec drugi --- cztery pasy spięte tu w jeden --- owiązuje erkaem przy samym zamku. Chwila i broń, kołysząc się w powietrzu, jedzie do góry.

— Tłumik poobijacie! --- ryczy celowniczy.

— Odpłyną, odpłyną! --- wścieka się u góry Płużański.

Jest. Jeszcze ładownik. Drugi. Trzeci. Podchorąży zgarnia je na tej skałce pod siebie łapczywie --- inaczej jeszcze zlecą. Trzask zakładania.

— Już!

Boi się, boi się popatrzeć na morze. Może już dobijają przy tem guzdraniu piekielnem? Nie. Barka jedna i druga są na fiordzie, w połowie drogi do portu. Śmiech, nerwowy śmiech złej radości.

— Bryz!

Erkaem rozdygotał się pierwszą serją puszczoną w dół.

Płużański leży na skałce wysuniętej, zawisł nad morzem prawie. Serja poszła w dół, ponad wierzchołki brzóz obrastające stok, wprost w morze. Zwysoka woda fiordu nie jest jasnobłękitna, jak gdy się ją widziało zdaleka, a tylko ciemnozielona. W ten szmaragd, na którym drewniana płaskość barki lśni celem widocznym, posłał oto andante swego koncertu.

I patrzy.

W prawo od barki wykwitły na ciemnej wodzie białe wytryski.

Poszło w bok.

Przykłada jeszcze raz. Na pierwszej barce widać z góry jakby nerwowy pośpiech. Ale on, teraz, nie śpieszy się jak przedtem. Ma barkę przed oczami, czy raczej pod oczami, i wie, że potrzeba jej zbyt wiele czasu na przebycie całej drogi.

— Bryz!

Jeszcze nie. To nic: bliżej. Ciągle zanadto w prawo, ale to wszystko, to wszystko nic. Niema siły ludzkiej i niebieskiej, któraby mu tę barkę wydarła z rąk.

— Bryz!

Na wodzie tym razem nie wytrysł żaden biały ślad kul. Wszystkie poszły w łódkę, prosto w łódkę. Widać wyraźnie śmiertelny popłoch na barce. Są przecież naprawdę jak na dłoni. Nie ujdą, nie mogą.

I teraz erkaem, zwieszony ze skały, rozszalał się istnem ujadaniem, które zlatuje tam ołowiem, kąsa, zabija, kładzie. Wielkie łapy Płużańskiego obciskają go i prowadzą, jak się prowadzi maszynę, która ściegami jakiemiś pokrywa tkaninę, materiał czy blachę. Erkaem rozsiewa kule po całej barce, przesuwa się od jej przodu do steru, smaga pokład w szerokość i powraca na ślad świeży swego przechodu. Jacyś ludzie odrywają się i skaczą: jedni prawdziwie sportowo, nurkiem gładkim. Ci odbijają daleko i widać potem jak płyną równo. Inni padają niezgrabnie, a potem szamocą się w wodzie, bezradni jak muchy w lepie.

Druga barka jakby namyślała się, czy chciała zawrócić.

Nikt nie miał się o tym dowiedzieć więcej. Pierwsza seria puszczona spadła wprost na jej pokład. Tylko przerwa nakładania nowego — to czwarty chyba? — ładownika i erkaem gra nanowo swem maszynowem graniem. Jest to kośba, istna kośba ludzka, na środku tej wody, mordercza, techniczna. Płużański, przechylony, nie widzi nic. Erkaem w jego ręku wali pełnym spustem. Zagłusza wszystko. Nawet kule tamtych.

— Uwaga, walą w was — ktoś woła.

Istotnie. Ogień niemiecki z tamtej strony, z portu narvickiego, szukał długo po brzozach i stokach owego zdradzieckiego erkaemu. Nie trudno go było znaleźć, choć mundur jest ciemny, jak sama skała. Ogień ciągły na-

prowadził na trop. Kule rykoszetami odpadają teraz od skałki. Trzeba się odsunąć.

— Kryjcie się, panie podchorąży!

— Jeszcze ich, jeszcze ich — zaciska zęby w pasji radosnej Płużański.

Wydaje mu się, że jest lotnikiem i że z lotu widzi to wszystko pod sobą, z lotu, z góry rżnie po nich, salwa za salwą. Radość, radość, radość. Co znaczy to wszystko, te gwizdy ostrzegawczo przeciągłe, to łupanie kul w skałę, wobec tej radości przeogromnej, przestrasznej radości wojennej!

Nowy ładownik. Podnosi głowę. Wiatr leci od gór i fiordu, wiatr morski i górski zarazem. Swój prawie wiatr: tatrzański. W tej radości niezmiernej, w tej chwili nad wszystkie pięknej i tego mu więc nie zabrakło.

— Bryz! Bryz! Bryz!

Nowy paroksyzm morderczy po tych, co rzucili się z barek do wody, po barce drugiej, która przełamuje się jakby w pół, po tem obcem morzu. Mógłby strzelać ku portowi. Nie warto. Nie raczy. Wyszukuje, wytrapia pływających, wstukuje w nich serie. Wyławia, by posłać na dno.

Naraz ścieg rozświegotany obpryskuje sam szczyt. Aż kamienie odleciały w górę.

Drugi i trzeci ścieg. To dwa inne cekaemy przyłączyły się do tego pierwszego. Włupują się twardym świergotem w kamień skały, w ciało człowieka. Wdziobują się z pasją od tamtej nie mniejszą: długo szukały, nim wreszcie znalazły.

— Podchorąży ranny — woła ktoś na dole.

Nie. Podchorąży nie jest ranny. Tylko głowa, grzbiet nachylony, piersi, wszystko to jest poprzeszywane kulami, posztyletowane po wielokroć i na przestrzał. Cekaemy, to naprawdę wspaniała broń. Nie było czasu na nic. Nawet na ból. Kiedyś, gdy zdejmą ciało Płużańskiego z tej skały, jak cokół pomnika wyrosłej, będzie ono wykrwawione docna, z hełmem wczepionym w kość czaszki i podziurawionym wraz z nią, jakby wbitemi i wyjętemi potem czyjąś ręką litosną, gwoździami. Będzie go trzeba ściągać, bo sam nie zleciał. Zanadto był góralem. Zmarł na tej skale wysokiej, jak ptak górski na gnieździe. Nie spadł.

Tylko zaraz ze zgrzytem żelaza o piarg obsunął się karabin maszynowy, z rąk niepotrzebnych wypadły. Przekreślił powietrze czarnym przelotem i gruchnął w dole o kamienie, jak rozbity na zawsze przedmiot: jak skrzypce, na których ktoś wydźwięczał ostatnią swoją pieśń i na których nie zagra nikt więcej.

. . . .

Taka była śmierć narvicka Mieczysława Płużańskiego, górala i malarza. Podchorążego z Coetquidan.

Ksawery Pruszyński

JÓZEF PIŁSUDSKI

Są ludzie i są prace ludzkie tak silne i tak potężne, że śmierć przezwyciężają, że żyją i obcują między nami.

*

Wojsko, to prawda siły ramienia, co broni i chroni, co życie dając, życie innym otwiera, co krwią jak cementem, mości prawdę historii i trwania narodu.

*

I gdy czasy tak wielkie idą co świat na inny zmieniają, to czasy te nie są na miarę piersi tchórzyków, piersi łotrzyków.

Montbard

W związku z drugą rocznicą polskich bojów we Francji przytaczamy wyjątek z książki F. S. »Między Marną a Loarą«, dotyczący walk naszej Brygady Pancernej pod dowództwem gen. Maczka.

REDAKCJA

W lesie na południe od Laignes zatrzymaliśmy się na postój, oczekując na zebranie Brygady, która musiała rozciągnąć się znacznie w zatorach drogowych.

Przystojny kapitan artylerii zawiadomił nas, że Montbard jest z absolutną pewnością obsadzone przez nieprzyjaciela, że na szosie przed miasteczkiem leżą już rozbite samochody i zabici ludzie, wobec czego nie ma najmniejszego sensu maszerować w tym kierunku, i radzi nam powrócić przez Laignes na Dijon.

Zaprosiliśmy kapitana, by przysiadł z nami na rowku, przydzieliliśmy mu jedną złotowłosą kurę i szklankę rocznika 1921, a następnie zawiadomiliśmy go, że nie rezygnujemy mimo wszystko z marszu na Montbard i ze spotkania z Niemcami. Nie wiadomo jeszcze, kto wyjdzie gorzej na tem rendez-vous.

Kapitan pokiwał głową poczem powiedział, że bardzo lubi Polaków i że był w Warszawie, na zawodach tenisowych.

— Przepraszam, a jak się pan nazywa?

— Borotra.[1])

* * *

Żołnierza, czytającego te wspomnienia, uderzyć może, że maszerowaliśmy ku nieprzyjacielowi bez żadnego rozpoznania i właściwie bez ubezpieczenia. Tłumaczy się to specyficznymi warunkami bitwy. Rozpoznanie dalekie nie miało sensu wobec niesłychanej płynności położenia. Istniała przy tym pewność, że żaden meldunek nie zdoła przebić się przez zatory drogowe. Pod tym względem mieliśmy już bogate doświadczenia z kampanii wrześniowej, gdzie panował znacznie większy porządek, w porównaniu do tego. Nawet śmiesznie wyglądałby marsz ubezpieczony, gdy się szło w stadzie cywilnych uciekinierów i taborów.

Rolę informatorów pełniły doskonale, choć przesadnie, »zające w kotle«.[2])
Można więc było wyrzucać rozpoznanie tylko na najbliższe odległości, gdy bliskość nieprzyjaciela wytwarzała próżnię w terenie.

Tego dnia 16. czerwca, generał Maczek z zupełną świadomością zabronił wysyłania jakichkolwiek słabych oddziałów rozpoznawczych czy ubezpieczających, które mogły stać się dzwonkiem alarmowym dla nieprzyjaciela.

I tak wiedzieliśmy na pewno, że Montbard jest zajęte i bez względu na siłę nieprzyjaciela — uderzymy.

---

[1]) Do czasu dojścia do władzy Pierre Laval'a w kwietniu 1942 był ministrem wychowania fizycznego w rządzie Pétain'a.

[2]) Tak autor nazywa wojsko, tabory oraz uciekinierów francuskich, uchodzących w rozbieżnych kierunkach.

Oczywiście niegłupio byłoby znać dokładnie nieprzyjaciela, aby zastosować odpowiedni szyk uderzenia i zorganizować wsparcie ogniowe.

W tych warunkach, przy naszych słabych siłach, a przede wszystkim przy braku artylerii, znacznie ważniejszym czynnikiem od metodycznego montażu uderzenia »po wsiem prawiłam isskustwa«[3]) było zaskoczenie.

Zaskoczenie było naszym najsilniejszym atutem.

Toteż, przed ruszeniem z chwilowego postoju, generał kazał zebrać załogi wszystkich czołgów i wygłosił krótkie przemówienie, w którym powiedział o honorze Polaka i żołnierza, przypomniał gruzy Warszawy i przeciwstawił im oddany bez bitwy Paryż. · Przemówienie zakończył mocnymi słowami o szczęściu, jakie nas spotka, skoro możemy dziś jeszcze natłuc Niemców za nasze krzywdy.

Potem padł rozkaz: maszerować naprzód! Z chwilą otrzymania ognia, ruszyć pełnym gazem do miasta, gniotąc wszystko, co stawia opór! Szwadron ułanów ma iść tuż za czołgami, po strzałach spiesza się natychmiast do walki i idzie na bagnety razem z czołgami.

Ruszyliśmy naprzód, nasz samochód pomiędzy czołgami i ułanami.

Było już zupełnie ciemno.

Powolny ruch samochodu i monotonny jazgot gąsienic przede mną sprawiły, że zdrzemnąłem się najspokojniej.

Obudziłem się wskutek gwałtownego zahamowania samochodu oraz trzasku ognia wszelkiej broni, strzelającej z trzech stron przed nami.

Wyskoczyliśmy z samochodu. Przed nami czołgi dodały gazu i w myśl otrzymanego zadania zupełnie po kawaleryjsku runęły do szarży w dół, na Montbard. Z czołowych maszyn już zaczęli strzelać.

Za nami ciężko sypali się z wozów na ziemię ułani, trzaskając zamkami karabinów i nakładając bagnety. I zaraz rowami, z dwóch stron drogi, szwadron pobiegł śladem czołgów.

Miejsce, w którym natknęliśmy się na ogień, leżało pewnie o pół kilometra od północnego skraju Montbard. Szosa wychodziła tu z lasu, spadając w dół bardzo ostro, dużym łukiem.

Z lewej strony leżało wysokie wzgórze --- raczej góra z tarasowatym występem, z którego w dzień można było ogarnąć wzrokiem wielką przestrzeń, a i w tę jasną noc było widać dość dużo.



Od Montbard sypały się pociski. Szczególnie duży efekt sprawiały serie świetlnej amunicji, wystrzelanej z automatycznej armaty przeciwlotniczej czy przeciwpancernej, wielkim łukiem okrążające szosę i kładące się na

[3]) Wg wszelkich prawideł sztuki. Ros.

zachód, po drugiej stronie kanału.

Zaraz też pojawił się na odgłos strzałów major Z., meldując, że ma ze sobą resztę dywizjonu kawalerii i pluton saperów.

Dostał rozkaz spieszenia szwadronu i ruszenia w dół, za natarciem. Pluton saperów został na występie skalnym, jako ubezpieczenie natarcia.

My zaś poszliśmy z generałem i Ludwiczkiem na dół za czołgami. Na samym zakręcie szosy płonął jasnym płomieniem słup telegraficzny, zapalony pociskiem świetlnym i oświecał leżący na szosie wojskowy samochód francuski.

Idąc bardzo szybko dopędziliśmy ogon szwadronu.

Po drodze spotkaliśmy jeszcze wiele leżących samochodów oraz kilka pojazdów konnych i zabitych koni.

Już pod samą barykadą, rozrzuconą zresztą na miazgę przez czołgi, wleźliśmy na jakiegoś trupa.

(Czołgi tymczasem robiły nieprawdopodobne piekło w samym miasteczku, a ułani mijali nas biegiem, wrzeszcząc okropnie dla dodania sobie animuszu oraz przerażenia wroga).

Poświeciliśmy na trupa latarką i w pierwszym momencie zupełnie zdębieliśmy z przerażenia.

Nie dla tego, że wyglądał rzeczywiście okropnie. Nie mam pojęcia, w jaki sposób został zabity, ale nie miał głowy ani twarzy, tylko kulę czerwono-czarnego mięsa, na której siedział hełm francuski.

Na sobie miał mundur francuski.

Ogarnęło nas straszne podejrzenie: a jeżeli Borotra nałgał ze strachu i w tym Montbard siedzą jakieś Francuzy, po których my teraz sobie jeździmy?! Ładna historia!

Na szczęście kilka kroków od tego miejsca leżały aż trzy trupy bardzo blisko siebie. Odetchnęliśmy z głębi serca (pod każdym względem), byli to bowiem Niemcy, w najprawdziwszych niemieckich hełmach i w mundurach »feldgrau«.

Zabitemu Francuzowi ktoś z oficerów odłamał później z przepisowej bransoletki (metryka śmierci, jak ją nazywali nasi żołnierze) połowę blachy z numerem i nazwiskiem.

Niezadługo też przyprowadzono pierwszego jeńca, podoficera z 66. pułku piechoty zmotoryzowanej (13 dywizji piechoty zmotoryzowanej).

Dziwna rzecz. Idąc na ten front wszyscy obiecywali sobie: nie bierzemy jeńców. Każdego Niemca z miejsca w łeb. Za to wszystko co zrobili z Polską.

I nikomu nawet do głowy nie przyszło wykonanie tej groźby wobec jeńców spod Montbard, których więcej jeszcze przytaszczono pod bagnetami z dołu, z miasteczka.

Byli to dobrzy żołnierze, prawdziwi żołnierze, którzy bili się doskonale, a schwytani zachowywali się bez zarzutu. »Sztramaki« jak wszyscy diabli. Wyszkoleni, zdyscyplinowani, wychowani wojskowo.

Meldowali, że od razu zorientowali się, iż zostali zaatakowani przez Polaków lub Brytyjczyków. Od dawna odzwyczaili się od tego, aby ich atakowano. A do tego jeszcze w nocy, na miasto czołgami... Były to wypadki, które nie zdarzyły sie od początku kampanii.

Patrzyli na nas z nieukrywanym szacunkiem.

Z kolei poszedł do natarcia następny szwadron. Walka toczyła się początkowo na ulicach, skąd nieprzyjaciel został wkrótce wyparty poza miasteczko i zaczął organizować opór bardziej stały, szczególnie na południowych brzegach kanału, gdy już minęły skutki zaskoczenia.

Około 2. w nocy nadszedł meldunek (przywieziony przez oficera łącznikowego), że 42. dywizja piechoty nie idzie za nami, ale skręciła na Dijon.

Jednocześnie prawie rozległa się silna eksplozja w Montbard. W okolicy mostu na kanale wyskoczył w niebo wielki słup ognia. (Jak zawsze w takich razach strzelanina na moment ucichła, jak na komendę. Później zatrajkotała ze zdwojoną energią). Nadszedł meldunek, że nieprzyjaciel wycofał się na południowy brzeg kanału, wysadzając most.

Dla generała zaczęły się męki porodu decyzji.

Najbliższa droga na Loarę prowadzi przez Montbard, które zdobyliśmy za cenę krwawych strat. Przeprawa ta nie ma już znaczenia dla 42. dywizji, dla której biliśmy się, zamiast słuchać dobrej rady Borotry, i mamy wszelką swobodę wyboru kierunku. Obowiązek już nas nie wiąże.

Ale gdzie szukać drogi? A jeżeli most nie jest wysadzony, jeżeli to jakiś inny obiekt wyskoczył w powietrze?

Tymczasem do mostu nie można było zbliżyć się z powodu ognia, absolutnie śmiertelnego w oświetlonej pożarem przestrzeni, obserwacja zaś w nocy nie dawała wyniku.

A szef sztabu z zegarkiem w ręku meldował: »Proszę o decyzję. Czy idziemy naprzód? Czy odrywamy się i odskakujemy? Za półtorej godziny zaczyna się świt — a tyle czasu co najmniej potrzeba na zawrócenie wozów i wycofanie oddziałów«.

Męczony przez sumienie i przez szefa sztabu, generał wydał w końcu z bardzo ciężkim sercem decyzję: »Odrywamy się. Zbieramy się w lasach du Grand Jailly, poczem szukamy przejścia przez kanał bardziej na wschód«.

. . . .

Okazało się, że nie warto było męczyć się tak nad postanowieniem.

Decyzja odskoku była najbardziej trafną dla uratowania resztek Brygady.

Któż jednak wiedział tej nocy, że most został w istocie wysadzony, że nieprzyjaciel silnie trzymał południowy brzeg kanału?

I najważniejsze. Że nawet przebicie tej zasłony nie załatwiało niczego. Wydawało się nam, że na Kanale Burgundzkim jest południowe skrzydło zachodzącej masy niemieckiej. Że wydostanie się na południe od kanału jest równoznaczne z przebiciem się przez oskrzydlające kolumny niemieckie i dalej na południe droga jest otwarta, że czeka tam benzyna i dalej wolna Loara i bitwa na Loarze.

Rzeczywistość wykazała, że tego dnia, 17. czerwca, południowe skrzydło niemieckie podchodziło już do Lyonu!

. . . .

Rozkazy poszły do oddziałów. Najpierw trzeba było wyewakuować rannych, których było kilkudziesięciu. Niektórych trzeba było zostawić na miejscu, w Montbard, bo było z nimi tak źle, że nie mogli wytrzymać najmniejszego nawet transportu.

Innych prowadzono i niesiono na górę. Ładowano ich do zwykłych samochodów ciężarowych, bo sanitarki dawno pogubiły się w zatorach. Było tego z pięć wozów. Z gołych desek kapała krew.

Dowódca 1. szwadronu kawalerii motorowej, rotmistrz E., siedział skulony w swoim ciasnym Citroënie, podziurawiony ręcznym granatem.

Straty nieprzyjaciela były bez porównania poważniejsze. Samych trupów naliczyła straż tylna, która odeszła już o świcie, ponad sześćdziesiąt. Samochodów pancernych wzięto i spalono na miejscu trzy. Nasi »nafasowali« sporo broni maszynowej i kilka motocykli.

Nasi ludzie bili się jak szatany, na bagnety i granaty ręczne.

Do naszych strat doliczyć trzeba, niestety, cały ogon Brygady (część dywizjonu przeciwpancernego, bateria przeciwlotnicza, część kompanii saperów, część kwatery głównej), który zosłał porozrywany przez zatory jeszcze na północ od Laignes.

Pod Laignes, oddział ten, idąc pomiędzy kolumnami francuskimi, został zaatakowany przez samochody pancerne niemieckie.

Kapitan N., dowódca kompanii saperów, zorganizował walkę i nie tylko zatrzymał nieprzyjaciela, ale przeciwuderzył i tak się gracko spisał, że wziął kilkunastu jeńców.

Do Brygady jednak nie zdołał już dołączyć, przegrodzony od niej przez nieprzyjaciela.

O tym wszystkim dowiedzieliśmy się znacznie później.

F. S.



(Z cyklu „Czarna wiosna")

Krzyż z bierwion dwóch, związanych sznurkiem,
piasek zroszony krwią — dań świeża,
brzoza płacząca nad pagórkiem:
to grób — wieczysty dom żołnierza.
Rów, zawalony kamieniami —
i koń zabity w bliskich krzakach,
pług pracowity — brat kochany:,
to schron — pośmiertny dom wieśniaka.
Chaty zburzone w bomb rozpryskach,
okryte sadzą — mgłą żałoby,
w żołdaków sprośnych pośmiewiskach;
to córek i to matek groby.
Ogródki, w których sennych fiołków
księżyc srebrzysty nie oświeci,
i krzyż wycięty nożem — w kołku:
to ciche groby — domki dzieci.
Żużel wsi czarny, miast popioły,
łan, co nie zdążył wydać płodu,
zbryzgany czarną krwią, jak smoła:
to żywy grób — zmarłych narodów.
Ziemia trybami czołgów zryta,
ścięta kulami do wnętrzności,
miłość bagnetem na krzyż wbita:
to cmentarz — wieczny schron ludzkości.
A nad cmentarzem tym straszliwym
grabarz potworny z twarzą kata
stoi i głosem woła mściwym:
pogrzeb narodów... koniec świata!
A ponad katem — w gwiezdnych dymach —
On, który Prawdy Wiecznej strzeże,
Idzie... I miecz ognisty trzyma:
Podnosi... Mierzy... Czy uderzy?...

M. A. NIEDŹWIEDZKI



Król zjechał właśnie z nadbrzeża jeziora i udał się na lewe skrzydło do polskich chorągwi, gdzie miał pasować całą gromadę rycerzy, gdy nagle dano mu znać, iż dwóch heroldów zjeżdża od krzyżackiego wojska.

Serce Władysława zabiło nadzieją:

— Nuże ze sprawiedliwym pokojem jadą!

— Daj Bóg! --- odrzekli duchowni.

Król posłał po Witolda, a tymczasem heroldowie, nie spiesząc się, zbliżyli się do obozu.

W jasnem świetle słońca widziano ich doskonale, podjeżdżających na ogromnych, pokrytych kropieżami koniach bojowych: jeden miał na tarczy cesarskiego czarnego orła na złotem polu, drugi, który był heroldem księcia Szczecińskiego: gryfa na białem polu. Szeregi rozstąpiły się przed nimi, oni zaś, zsiadłszy z koni, stanęli po chwili przed wielkim królem i, skłoniwszy nieco głowy, dla okazania mu czci, tak odprawili swoje poselstwo.

— Mistrz Ulrych --- rzekł pierwszy herold --- wyzywa twój majestat, panie, i księcia Witolda na bitwę śmiertelną, i aby męstwo wasze, którego wam widać brakuje, podniecić, śle wam te dwa nagie miecze.

To rzekłszy, złożył miecze u stóp królewskich. Jaśko Mążyk z Dąbrowy wytłómaczył jego słowa królowi, ale ledwie skończył, wysunął się drugi herold z gryfem na tarczy i tak przemówił:

— Mistrz Ulrych kazał mi też oznajmić, panie, iż jeśli skąpo wam pola do bitwy, to się z wojskami wam ustąpi, abyście nie gnuśnieli w zaroślach.

Jaśko Mążyk znów przełożył jego słowa, i nastąpiła cisza, tylko w orszaku królewskim rycerze poczęli zgrzytać z cicha zębami na takie zuchwalstwo i zniewagę.

Ostatnie nadzieje Jagiełły rozwiały się jak dym. Spodziewał się poselstwa zgody i pokoju, a tymczasem było to poselstwo pychy i wojny.

Więc wzniósłszy załzawione oczy do góry, tak odrzekł:

— Mieczów ci u nas dostatek, ale i te przyjmuję, jako wróżbę zwycięstwa, którą mi sam Bóg przez wasze ręce zsyła. A pole bitwy On także wyznaczy. Do którego sprawiedliwości ninie się odwołuję, skargę na moją krzywdę i waszą niepraweść a pychę zanosząc --- amen.

I dwie wielkie łzy spłynęły mu po ogorzałych policzkach.

Tymczasem głosy rycerskie w orszaku poczęły wołać:

— Cofają się Niemce. Dają pole!

Heroldowie odeszli, po chwili widziano ich znowu jadących na górę na swych ogromnych koniach i błyszczących w świetle słonecznem od jedwabiów, które po wierzchu zbroi nosili.

* * *

Wojska polskie wysunęły się z lasu i zarośli w składnym szyku bojowym. W przodku stał hufiec tak zwany »czelny«, złożony z najstraszniejszych rycerzy, za nim walny — a za walnym piechoty i lud najemny. Utworzyły się przez to między hufcami dwie długie ulice, po których przelatywał Zyndram z Maszkowa i Witold. Ten ostatni bez hełmu na głowie, w świetnej zbroi, podobny do złowrogiej gwiazdy lub do gnanego wichrem płomienia.

Rycerze nabierali tchu w piersi i osadzali się mocniej w siodłach.

Bitwa miała tuż, tuż nastąpić.

* * *

Już serca w obu wojskach biły jak młoty, ale trąby nie dawały jeszcze znaku do boju.

Nastała cięższa może od samej bitwy chwila oczekiwania. Na polu, między Niemcami a armią królewską, wznosiło się od strony Tannenberga kilka odwiecznych dębów, na które powłazili chłopi miejscowi, aby patrzeć na zapasy tych wojsk tak olbrzymich, jakich od niepamiętnych czasów świat nie widział. Lecz prócz tej jednej kępy całe to pole było puste, szare, przeraźliwe, do obumarłego stepu podobne. Chodził tylko po niem wiatr, a nad niem unosiła się śmierć. Oczy rycerzy zwracały się mimowoli na tę złowrogą, milczącą równinę. Przelatujące po niebie chmury przesłaniały od czasu do czasu słońce, a wówczas padał na nią mrok śmiertelny.

Wtem wstał wicher. Zaszumiał w lesie, oberwał tysiące liści, wypadł na pole, chwycił suche źdźbła traw, wzbił tumany kurzawy i poniósł je w oczy wojsk krzyżackich. W tej również chwili wstrząsnął powietrzem przeraźliwy głos rogów, krzywuł, piszczałek i całe skrzydło litewskie zerwało się nakształt niezmiernego stada ptactwa do lotu. Poszli odrazu wedle zwyczaju w skok. Konie, wyciągnąwszy szyje i potuliwszy uszy, rwały ze wszystkich sił przed siebie; jeźdźcy, wymachując mieczami i sulicami, lecieli z krzykiem okropnym przeciw lewemu skrzydłu Krzyżaków.

Mistrz właśnie znajdował się przy niem.

— Witold pierwszy wystąpił. Poczynajcie-że i wy w imię Boże!

I skinieniem prawicy ruszył czternaście chorągwi żelaznego rycerstwa.

Chorągwie, zniżywszy kopie, poczęły z początku iść krokiem. Lecz równie jak skała stoczona z góry, spadając, coraz większego pędu nabiera, tak i one: z kroku przeszły w rysią, potem w cwał, i szły straszne, niepohamowane jako lawina, która musi zetrzeć i zdruzgotać wszystko przed sobą.

Ziemia jęczała i gięła się pod niemi.

* * *

Bitwa miała lada chwilę rozciągnąć się i rozpalić na całej linii, więc polskie chorągwie poczęły śpiewać starą bojową pieśń św. Wojciecha. Sto tysięcy pokrytych żelazem głów podniosło się ku niebu, a ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos do grzmotu niebieskiego podobny:

Boga-Rodzica, Dziewica,
Bogiem sławiona Marya!
U Twego Syna, Hospodyna,
Matko zwolona, Matko jedyna
Ziści nam — spust winom!...
Kyrie Eleison!...

I wraz moc zstąpiła w ich kości, a serca stały się na śmierć gotowe. Była zaś taka niezmierna zwycięska siła w tych głosach i tej pieśni, jakby naprawdę grzmoty poczęły się roztaczać po niebie. Zadrgały kopie w rękach rycerzy, zadrgały chorągwie i chorągiewki, zadrżało powietrze, zakolebały się gałęzie w boru, a zbudzone echa leśne jęły odzywać się w głębinach i wołać, i jakby powtarzać jeziorom i łęgom, i całej ziemi, jak długa i szeroka.

Echo powtórzyło w odpowiedzi: »Kyrie Eleisooon!« — a tymczasem na prawem skrzydle wrzała już bitwa zacięta i zbliżała się ku środkowi coraz bardziej.

Łoskot, kwik koni, krzyki okropne mężów mieszały się z pieśnią. Ale chwilami krzyki cichły, jakby tym tam ludziom zbrakło tchu, i w jednej z takich przerw raz jeszcze można było usłyszeć grzmiące głosy:

Adamie, ty Boży kmieciu,
Ty siedzisz u Boga w wiecu,
Domieść nas, swe dzieci,
Gdzie królują święci anieli!
Tam radość,
Tam miłość,
Tam widzenie, Twórca, anielskie, bez końca...
Kyrie Eleison...

I znów runęło echo po borze: »Kyrie Eleisooon!« Krzyki na prawem skrzydle wzmogły się jeszcze, lecz nikt nie mógł ni wiedzieć, ni rozeznać, co się tam dzieje, albowiem Mistrz Ulrych, który patrzał z góry na bitwę, stoczył w tej chwili pod wodzą Lichtensteina dwadzieścia chorągwi na Polaków.

A zaś do polskiego hufca »czelnego«, w którym stali najprzedniejsi rycerze, przypadł jak grom Zyndram z Maszkowic, i ukazawszy ostrzem zbliżającą się chmurę Niemców, zakrzyknął tak donośnie, że aż konie poprzysiadały w pierwszym szeregu na zadach:

— W nich! Bij!

Więc rycerze, pochyliwszy się na karki końskie i wyciągnąwszy przed się włócznie, ruszyli.

* * *

Lecz Litwa ugięła się pod straszliwą nawałą Niemców. Pierwsze szeregi, najlepiej zbrojne, złożone z możniejszych bojarów, padły mostem na ziemię. Następne zwarły się ze wściekłością z krzyżactwem, lecz żadne męstwo, żadna wytrwałość, żadna moc ludzka nie mogła ich od zguby i klęski uchronić. I jakże mogło być inaczej, gdy z jednej strony walczyło rycerstwo, całkiem zakute w stalowe zbroje, i na koniach stalą osłonionych, z drugiej lud, rosły wprawdzie i silny, ale na drobnych konikach i skórami jeno okryty?... Próżno też szukał uporny Litwin, jak do skóry niemieckiej się dobrać. Sulice, szable, ostrza oszczepów, pałki, nasadzane krzemieniem lub gwoździami, odbijały się jak o żelazne blachy, jak o skałę, lub jak o mury zamkowe. Ciężar ludzi i koni gniótł nieszczęsne Witoldowe zastępy, cięły ich miecze i topory, bodły i kruszyły kości berdysze, tratowały kopyta końskie. Kniaź Witold daremnie ciskał w tę paszczę śmierci coraz nowe

watahy, daremny był upór, na nic zaciekłość, na nic pogarda śmierci i na nic rzeki krwi! Pierzchło naprzód Tatarstwo, Besaraby, Wołochy, a wkrótce pękła ściana litewska, i dziki popłoch ogarnął wszystkich wojowników.

Druga atoli część wojsk Witoldowych, mniejsza, w której były trzy pułki smoleńskie, cofał się ku skrzydłu polskiemu, parta przez sześć chorągwi Niemców, a następnie i przez te, które wracały z pogoni. Lecz lepiej zbrojni Smoleńszczanie skuteczniejszy stawiali opór. Bitwa zmieniła się tu w rzeź. Potoki krwi okupowały każdy krok, każdą niemal piędź ziemi. Jeden z pułków smoleńskich wycięto niemal co do nogi. Dwa inne broniły się z rozpaczą i wściekłością. Lecz zwycięskich Niemców nic już nie mogło powstrzymać. Niektóre ich chorągwie ogarnął jakby szał bojowy. Pojedyńczy rycerze, bodąc ostrogami i wspinając rumaki, rzucali się naoślep ze wzniesionym toporem lub mieczem w największą gęstwinę nieprzyjaciół. Cięcia ich mieczów i berdyszów stały się niemal nadludzkie, cała zaś ława, prąc, tratując i miażdżąc konie i rycerzy smoleńskich, przyszła na koniec w bok czelnemu i walnemu hufcowi polskiemu, albowiem oba od godziny już przeszło zmagały się z Niemcami, którym Kuno Lichtenstein przywodził.

*
* *

Nie poszło tu tak łatwo Kunonowi, gdyż większa była równość broni i koni, a jednakie ćwiczenia rycerskie. Wsparły nawet Niemców »drzewa« polskie i odrzuciły ich w tył, zwłaszcza, że pierwsze uderzyły w nich trzy straszne chorągwie: krakowska, gończa pod Jędrkiem z Brochocic, i nadworna, której Powała z Taczewa przewodził. Jednakże bitwa rozgorzała najprzeraźliwsza dopiero wówczas, gdy po strzaskaniu kopii chwycono za miecze i topory. Tarcza uderzała wówczas o tarcz, mąż zwierał się z mężem, padały konie, przewracały się znaki, pękały pod uderzeniem brzeszczotów i obuchów hełmy, naramienniki, pancerze, oblewało się krwią żelazo, walili się z siodeł nakształt podciętych sosen witezie. Ci z rycerzy krzyżackich, którzy już pod Wilnem zaznali bitew z Polakami, wiedzieli, jaki to »nieużyty« i »natarczywy« jest ten lud, lecz nowaków i gości zagranicznych ogarnęło zrazu podobne do strachu zdumienie. Niejeden też wstrzymywał mimowoli konia, spoglądał przed się niepewnie, i nim się namyślił co czynić, ginął pod ciosem polskiej prawicy. I równie jak grad sypie się niemiłosiernie z miedzianej chmury na łan żyta, tak gęsto sypały się ciosy okrutne, i biły miecze, biły oksze, biły topory, biły bez tchu i miłosierdzia, dźwięczały, jak w kuźniach, żelazne blachy, śmierć gasiła, niby wicher, żywoty, jęki rwały się z piersi, gasły oczy, a zbielałe młodzieńcze głowy pogrążały się w noc wiekuistą.

Leciały w górę skry, skrzesane żelazem, złamki drzewców, proporce, pióra strusie i pawie. Kopyta rumaków osuwały się po krwawych, leżących na ziemi pancerzach i trupach końskich. Kto padł ranny, tego miażdżyły podkowy.

Lecz żaden jeszcze nie padł z przedniejszych rycerzy polskich, szli przed się w zgiełku i ciasnocie, wykrzykując imiona swych patronów, lub zawołania rodowe, jak idzie ogień po suchym stepie, który pożera krze i trawy. Pierwszy tam Lis z Targowiska porwał mężnego komtura z Osterody Gamrata, który, straciwszy tarczę, zwinął w kłąb swój biały płaszcz koło ramienia i płaszczem się od ciosów zasłaniał.

Ostrzem miecza przeciął Lis płaszcz i naramiennik, odwalił od pachy ramię, drugiem zaś pchnięciem przebił brzuch, aż ostrze w kość pacierzową zgrzytnęło. Krzyknęli z trwogi na widok śmierci wodza ludzie z Osterody, lecz Lis rzucił się między nich, jak orzeł między żórawie, a gdy Staszko

z Charbimowic i Domarat z Kobylan skoczyli mu na pomoc, poczęli ich we trzech łuskać okropnie, tak, jak niedźwiedzie łuszczą strąki, gdy się na pole zasiane młodym grochem dostaną.

Tamże Paszko Złodziej z Biskupic zabił sławnego brata Kunca Adelsbacha. Kunc, gdy ujrzał przed sobą wielkoluda z krwawym toporem w dłoni, na którym wraz z krwią przylepły kudły ludzkie, zląkł się w sercu i chciał oddać w niewolę. Ale Paszko, nie dosłyszawszy go wśród wrzawy, podniósł się w strzemionach i rozciął mu głowę wraz ze stalowym hełmem, jakby ktoś rozciął jabłko na dwoje. Wraz potem zgasił Locha z Meklemburgii, i Klingensteina, i Szwaba Helmsdorfa z możnego hrabiowskiego rodu, i Limpacha z pod Moguncyi i Nachterwitza też z Moguncyi, aż wreszcie poczęli się cofać przed nim przerażeni Niemcy, w lewo i w prawo, on zaś bił w nich, jak w walącą się ścianę, i co chwila widziano go, jak wznosił się do cięcia na siodle, poczem widziano błysk topora i hełm niemiecki zapadający się w dół między konie.

Tamże potężny Jędrzej z Brochocic, złamawszy miecz na głowie rycerza, który miał sowę na tarczy i przyłbicę kształtu sowiej głowy wykutą, chwycił go za ramię, skruszył je, i wydarłszy mu brzeszczot, zaraz go nim życia pozbawił. On również młodego rycerza Dynheima wziął w niewolę, którego widząc bez hełmu, pożałował zabijać, gdyż ów prawie był dzieckiem jeszcze i dziecinnemi nań spoglądał oczyma. Rzucił go tedy Andrzej giermkom swoim, nie odgadując, że zięcia sobie bierze, albowiem rycerzyk ten córkę jego wziął później za żonę i nazawsze w Polsce pozostał.

Natarli atoli teraz ze wściekłością Niemcy, chcąc odbić młodego Dynheima, który z możnego rodu grafów nadreńskich pochodził, lecz przedchorągiewni rycerze: Sumik z Nadbroża, i dwaj bracia z Płomykowa, i Dąbko Ochwia, i Zych Pikna osadzili ich na miejscu, jak lew osadza byka, i odepchnęli ku chorągwi świętego Jerzego, szerząc wśród nich zgubę i zniszczenie.

Zaś z rycerskimi gośćmi starła się chorągiew królewska nadworna, której Ciołek z Żelichowa przywodził. Tam Powała z Taczewa, siłę nadludzką mający, obalał ludzi i konie, kruszył żelazne hełmy, jak skorupy jaj, bił sam jeden w całe gromady, a obok niego szli Leszko z Goraja, drugi Powała z Wyhucza i Mścisław ze Skrzynna, i dwóch Czechów: Sokół i Zbisławek. Długo toczyła się tu walka, gdyż na tę jedną chorągiew uderzyły trzy niemieckie, lecz gdy dwudziesta siódma Jaśka z Tarnowa przyszła jej w pomoc, siły zrównały się mniej więcej, i odrzucono Niemców prawie na pół strzelania z kuszy od miejsca, w którem nastąpiło pierwsze spotkanie.

Lecz jeszcze dalej odrzuciła ich wielka krakowska chorągiew, której sam Zyndram przywodził, a na czele, między przedchorągiewnymi, szedł najstraszniejszy ze wszystkich Polaków: Zawisza Czarny herbu Sulima. W pobok walczyli brat jego Farurej i Floryan Jelitczyk z Korytnicy, i Skarbek z Gór, i właśnie ów sławny Lis z Targowiska, i Paszko Złodziej, i Jan Nałęcz, i Stach z Charbimowic. Pod okropną ręką Zawiszy ginęli bitni mężowie, jakby w tej czarnej zbroi sama śmierć szła im naprzeciw, on zaś walczył z namarszczoną brwią i ściśniętymi nozdrzami, spokojny, uważny, jakby zwykłą odbywał robotę; czasem równo poruszał tarczą, odbijał cios, lecz każdemu błyskowi jego miecza odpowiadał krzyk straszny porażonego męża, a on nie oglądał się nawet i szedł, pracując, naprzód, jak czarna chmura, z której co chwila piorun wypada.

Poznańska chorągiew, mająca w znaku orła bez korony, walczyła też na śmierć i życie, a arcybiskupia i trzy mazowieckie szły z nią w zawody. Ale i wszystkie inne przesadzały się wzajem w zawziętości i natarczywem

męstwie. W sieradzkiej młody Zbyszko z Bogdańca rzucał się, jak dzik, w najgęstsze tłumy, zaś przy boku jego szedł stary straszny Maćko, walcząc rozważnie, jak walczy wilk, który inaczej, niż na śmierć nie ukąsi.

Szukał on wszędy oczyma Kunona Lichtensteina, ale nie mogąc go w tłoku dostrzedz, upatrywał tymczasem innych, takich, którzy świetniejsze mieli na sobie stroje, i nieszczęsny był każdy rycerz, któremu się z nim spotkać przyszło. Niedaleko od obu rycerzy Bogdanieckich, ciskał się nieznośnie złowrogi Cztan z Rogowa. Po pierwszem spotkaniu rozbito mu hełm więc walczył teraz z gołą głową, strasząc swą zakrwawioną włochatą twarzą Niemców, którym się zdało, że nie człowieka, ale jakąś poczwarę leśną mają przed sobą.

Jednakże setki, a potem tysiące rycerzy zaległy z obu stron ziemię, aż wreszcie pod razami zaciekłych Polaków poczęła się chwiać niemiecka nawała, gdy w tem zaszło coś takiego, co losy całej bitwy mogło w jednej chwili przeważyć.

Oto, wracając z pogoni za Litwą, rozgorzałe i upojone zwycięstwem chorągwie niemieckie uderzyły w bok polskiego skrzydła.

Sądząc, że wszystkie wojska królewskie już rozbite i bitwa stanowczo wygrana, wracały one w wielkich bezładnych gromadach, z krzykiem i śpiewaniem, gdy nagle ujrzały przed sobą srogą rzeź i Polaków prawie już zwycięskich, ogarniających zastępy niemieckie.

Więc Krzyżacy, zniżając głowy, spoglądali ze zdumieniem przez kraty przyłbic na to, co się dzieje, a potem, jak który stał, wbijał koniowi ostrogi w boki i puszczał się w zamęt bojowy.

I tak gromada uderzała po gromadzie, aż wkrótce tysiące ich zwaliły się na znużone walką chorągwie polskie. Krzyknęli Niemcy radośnie, widząc przybywającą pomoc, i z nowym zapałem poczęli bić Polaków. Okropna bitwa zawrzała na całej linii, ziemia spłynęła potokami krwi, zachmurzyło się niebo i odezwały się głuche grzmoty, jakby sam Bóg chciał mieszać się między walczących.

Lecz zwycięstwo poczęło chylić się ku Niemcom... Już, już wszczynała się zamieszka w ławie polskiej, już rozszalałe w boju zastępy krzyżackie poczęły jednym głosem śpiewać pieśń tryumfu:

»Christ ist erstanden!...«

. . . .

A wtem stało się coś jeszcze okropniejszego.

Oto jeden leżący na ziemi Krzyżak rozpruł nożem brzuch konia, na którym siedział Marcin z Wrocimowic, trzymając wielką, świętą dla wszystkich wojsk chorągiew krakowską z orłem w koronie. Rumak i jeździec zwalili się nagle, a wraz z nimi zachwiała się i padła chorągiew.

W jednej chwili setki żelaznych ramion wyciągnęło się po nią, a ze wszystkich piersi niemieckich wyrwał się ryk radości. Zdało im się, że to koniec, że strach i popłoch ogarną teraz Polaków, że przychodzi czas klęski, mordu i rzezi, że już uciekających tylko przyjdzie im ścigać i wycinać.

Ale oto właśnie czekał ich straszny i krwawy zawód.

Krzyknęły wprawdzie z rozpaczą, jak jeden mąż, wojsko polskie, na widok upadającej chorągwi, lecz w tym krzyku i w tej rozpaczy był nie strach, ale wściekłość. Rzekłbyś, żywy ogień spadł na pancerze. Rzucili się jak lwy rozżarte ku miejscu najstraszniejsi mężowie z obu armii, i rzekłbyś, burza rozpętała się koło chorągwi. Ludzie i konie zbili się w jeden wir potworny, a w tym wirze śmigały ramiona, szczękały miecze, warczały topory, zgrzytała stal o żelazo, łoskot, jęki, dziki wrzask wyrzynanych mężów,

zlały się w jeden okropny głos, taki, jakby potępieńcy odezwali się nagle z głębi piekła. Wstała kurzawa, a z niej wypadły tylko oślepłe z przerażenia konie, bez jeźdźców, z krwawemi oczyma i rozwianą dziko grzywą.

Lecz trwało to krótko. Ni jeden Niemiec nie wyszedł żywy z tej burzy, i po chwili powiała znów nad polskimi zastępami odbita chorągiew. Wiatr poruszył ją, rozwinął i rozkwitła wspaniale, jak olbrzymi kwiat, jako znak nadziei i jako znak gniewu Bożego dla Niemców, a zwycięstwa dla polskich rycerzy.

Całe wojsko powitało ją okrzykiem tryumfu i uderzyło z taką zapamiętałością w Niemców, jakby każdej chorągwi przybyło we dwójnasób sił i żołnierzy.

A Niemcy, bici bez miłosierdzia, bez wytchnienia, bez takiej nawet przerwy, jak piersiom trzeba dla złapania oddechu, parci ze wszystkich stron, naciskani, rażeni nieubłaganie ciosami mieczów, siekier, toporów, maczug, poczęli znów chwiać się i ustępować. Tu i owdzie ozwały się głosy o litość. Tu i owdzie wypadał ze skrzętu jakiś zagraniczny rycerz z twarzą zbielałą ze strachu i zdumienia, i uciekał w zapamiętaniu, gdzie go niósł niemniej przerażony rumak. Większość białych płaszczów, które na zbrojach nosili bracia zakonni, leżała już na ziemi.

Więc ciężki niepokój ogarnął serca przywódców krzyżackich, gdyż zrozumieli, że cały ich ratunek tylko w Mistrzu, który dotychczas w pogotowiu stał na czele szesnastu odwodowych chorągwi.

On zaś, patrząc z góry na bitwę, zrozumiał także, że chwila nadeszła, i ruszył swe żelazne hufce tak, jak wicher porusza ciężką, niosącą klęskę chmurę gradową.

* * *

Lecz wcześniej jeszcze, przed trzecią linią polską, która dotąd nie brała udziału w boju, zjawił się na rozhukanym rumaku czuwający nad wszystkiem i baczny na przebieg bitwy Zyndram z Maszkowic.

Stało tam wśród polskiej piechoty kilka rot zaciężnych Czechów. Jedna z nich zachwiała się jeszcze przed spotkaniem, ale zawstydzona w porę, została na miejscu i rzuciwszy swego dowódcę, płonęła teraz żądzą bitwy, aby wynagrodzić męstwem chwilową słabość. Lecz główne siły składały pułki polskie, złożone z konnych, ale nie pancernych ubogich włodyków z piechot miejskich i najliczniejszych kmiecych, zbrojnych w rohatyny, w ciężkie oszczepy i w kosy, osadzone sztorcem na drągach.

— Gotuj się! gotuj! — wołał ogromnym głosem Zyndram z Maszkowic, przelatując jak błyskawica, wzdłuż szeregów.

Gotuj się! — powtórzyli mniejsi przywódcy.

Więc kmiecie zrozumiawszy, że przychodzi na nich czas, poopierali drągi od dzid, cepów i kos o ziemię i, przeżegnawszy się krzyżem świętym, poczęli popluwać w pracowite, ogromne dłonie.

I dało się słyszeć przez całą linię to złowrogie popluwanie, poczem chwycił każdy broń i nabrał tchu. W tej chwili przyleciał do Zyndrama pachołek z rozkazem od króla i szepnął mu coś zdyszanym głosem do ucha, a on, zwróciwszy się do piechurów, machnął mieczem i zakrzyknął:

— Naprzód!

— Naprzód! ławą! równo! — rozległy się wołania przywódców.

— Bywaj! Na psubraty! W nich!

Ruszyli. By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać:

Zdro-waś - Ma-ry-ja - Ła-skiś - peł-na - Pan - z To-bą!!!

I szli jak powódź. Szły pułki najemne i pachołkowie miejscy; kmiecie z Małopolski i Wielkopolski i Ślązacy, którzy przed wojną schronili się do Królestwa i Mazury z pod Ełku, którzy od Krzyżaków uciekli. Zajaśniało i rozbłysło od grotów na oszczepach i od kos całe pole.

Aż doszli.

— Bij! --- zakrzyknęli dowódcy.

— Uch!

I stęknął każdy jako krzepki drwal, gdy się pierwszy raz toporem zamachnie, a potem jął walić, ile mu siły i pary w piersiach starczyło.

Wrzask i krzyki wzbiły się ku niebiosom.

* * *

Król, który z wyniosłego miejsca zawiadował całą bitwą, rozsyłał pachołków i aż ochrypł od dawania rozkazów, gdy ujrzał wreszcie, że już wszystkie wojska pracują, począł i sam rwać się do boju.

Nie puszczali go dworzanie, bojąc się o świętą osobę pańską. Żuława chwycił za cugle konia, i choć król uderzył go włócznią po ręku, nie puścił. Inni zastąpili też drogę, prosząc, błagając i przedstawiając, że i tak losów bitwy nie przeważą.



Fragment z bitwy pod Grunwaldem